GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok V — Nr. 15 | Poznań, dnia 17 listopada 1935 | Cena 20 gr

LUDWIK JAXA BYKOWSKI, POZNAŃ

STUDJUM AKADEMICKIE

(Uwagi metodyczne)

„Nauką i pieniędzmi drudzy cię bogacą,
Mądrość musisz sam własną zdobyć sobie pracą“.
A. Mickiewicz.

I.

Zadaniem szkół akademickich, jak je formułuje obowiązująca obecnie ustawa, jest „prowadzenie badawczej i twórczej pracy naukowej lub artystycznej, wdrażanie do samodzielnych badań naukowych lub twórczości artystycznej, kształcenie i wychowywanie słuchaczy na świadomych swych obowiązków obywateli Rzeczypospolitej, oraz przygotowywanie ich do wykonywania zawodów, wymagających naukowego opanowania danej gałęzi wiedzy i samodzielnego sądu o wchodzących w ich zakres zagadnieniach teoretycznych i praktycznych“. Zadania zatem inne niż w szkole średniej, która, znów w myśl obowiązujących przepisów, „winna dać młodzieży podstawy pełnego rozwoju kulturalnego, przygotowywać ją do czynnego udziału w życiu zorganizowanego w ramach państwowych społeczeństwa oraz przygotować ją do studjów w szkołach wyższych“. W szkole średniej chodzi więc o ogólne wyrobienie duchowe i fizyczne, tu wyrobienie to ma być dalej pogłębione, ale nadto i przedewszystkiem uzupełnione wiedzą czynną. Studjum akademickie ma prowadzić do wiedzy samej, wskazać drogę samodzielnego badania i odkrywania prawdy, ma więc przyswoić metodę pracy naukowej samodzielnej, ma nauczyć samodzielnego stosowania prawd.

Oddmienny wobec tego i zakres pracy. W szkole średniej chodzi o wyrobienie pełnego człowieka, a więc o wszechstronność, na stopniu wyższym wobec olbrzymiego rozwoju nauk w dobie dzisiejszej konieczna jest specjalizacja, bez której nie można mówić o gruntowności pracy, która przeciwnie chroni przed zgubnym, u nas tak niestety panoszącym się dyletantyzmem. Stąd nietylko podział na wydziały, oddziały i poszczególne studja, ale potrzeba wczesnego wyrabiania umiłowanego przedmiotu, w którym pragnie się samodzielnie, twórczo pracować. Tak samo inna organizacja pracy. W szkole średniej nauczyciel ma nietylko uczyć, ale i nauczyć, stąd w pewnym stopniu przymus pracy i jej kontrola, stąd zadawania, powtarzanie, egzaminowanie, stąd ustalony program i rozkład zajęć, a nawet właściwy tok i porządek poszczególnej lekcji szkolnej. W szkole akademickiej panuje „wolność nauki i nauczania“, w przeciwieństwie do innych szkół nie ma u nas obowiązujących instrukcyj: „każdy profesor i docent ma prawo podawania i oświetlania z katedry sposobem naukowym według swego naukowego przekonania zagadnień, wchodzących w zakres tej gałęzi wiedzy, której jest przedstawicielem. Posiada on też swobodę wyboru metod wykładów i ćwiczeń“.

Wykłady, jak to już zaznaczył Józef Szujski w swej mowie rektorskiej w r. 1878, nie mogą być dogmatycznem rozwinięciem tej lub owej nauki, one są pobudką do własnej pracy.

Tak samo, zwłaszcza na wydziałach humanistycznym i matematyczno - przyrodniczym, panuje swoboda uczenia się w odniesieniu do studjujących, która jednakże nie powinna być rozumiana jako wolność nieróbstwa i nieuczenia się.

Nie narzucamy też dogmatycznie naszych poglądów i teoryj naukowych, szanujemy i przeciwne, ale musimy się domagać naukowego ich uzasadnienia.

II.

Naturalnie i metoda pracy w studjum akademickiem jest swoista. Rozpoczynam od tradycyjnej formy w y k ł a d u. Forma ta przeszła ewolucję w ciągu wieków: średniowieczna prelekcja polegała na czytaniu, streszczaniu i komentowaniu ustalonego tekstu. Krytyka była czemś wyjątkowem i nawet ryzykownem. Dziś forma ta bywa stosowana w niektórych początkowych ćwiczeniach seminaryjnych, ale i tu swobodna myśl i krytyka poglądów ma pełne prawo obywatelstwa. Natomiast wykład współczesny ma odmienne znaczenie i inną też formę. Dzisiaj ma on na celu: a) danie ogólnego obrazu określonej gałęzi wiedzy, względnie pewnego jej działu, albo b) poinformowanie o nowych zdobyczach wiedzy własnych lub obcych, albo c) krytykę pewnych poglądów, albo wreszcie d) wprowadzenie słuchaczy do naukowego studjum, pouczenie o metodach, wynikach pracy, o zakresie zagadnień. Poza nazwą więc treść nabrała zupełnie odmiennego znaczenia niż pierwotnie.

Ważnym jest sposób korzystania z wykładów, tymczasem poważne usterki są wcale częste i to nietylko u początkujących.

1. Przedewszystkiem sam sposób słuchania nie może ograniczyć się do biernego odbierania wrażeń słuchowych, lecz wymaga czynnego ustosunkowania się, współpracy intelektualnej. Konieczne jest zrozumienie nietylko poszczególnych słów i zdań, lecz przedewszystkiem istotnej treści. A więc uporządkować odbieranie spostrzeżeń, zestawiać z rzeczami znanemi i wiadomościami dawniejszemi, ocenić, czy z niemi harmonizują, czy je uzupełniają, czy może się im przeciwstawiają, uzyskane wiadomości usystematyzować, wybierając rzeczy zasadnicze i dokoła nich grupując podrzędne i drobiazgowe, ustalając dyspozycję poszczególnych rozdziałów i całości. Niewątpliwie zrozumiałość wykładu zależy od prelegenta, przejrzystości i konsekwencji ustalonej dyspozycji, umiejętności jasnego, nawet plastycznego, barwnego i zajmującego przedstawienia ujmowanego tematu, który to dar nie u wszystkich z jednaką siłą występuje: bywają wykładowcy, którzy przysłowiowo kładą swą wiedzę „łopatą do głowy“ nawet mało bystrej, są inni, którzy pomimo olbrzymich wiadomości i wielkich zasług naukowych najprostszą rzecz tak zagmatwają, że nawet fachowiec w niej się zgubi, — albo najciekawszy i aktualny temat ubiorą w taką formę, że zacznie ziewać nawet najpilniejszy z audytorjum. To rzecz nie tyle wprawy, ile raczej wrodzonego talentu. Ale może jeszcze ważniejsze właściwe i dostateczne przygotowanie słuchaczy. W szkole średniej i niższej, gdy nauczyciel spostrzeże



braki w przygotowaniu, obowiązany jest je wskazać zainteresowanym i uzupełnić, tu słuchacze muszą sami tego dokonać. Trzeba tedy zdać sobie sprawę ze swych braków, gdy się czegoś nie zrozumie, i albo samodzielnie je uzupełnić drogą samouctwa, albo zwrócić się o pomoc do doświadczonych. Tu jedno z pięknych zadań akademickich kół naukowych.

2. Ważnem jest umiejętne robienie notatek. Pożądane są one zwłaszcza dla wzrokowców i ruchowców, ale mogą się przydać i mieszanym typom, jedynie typowi słuchowcy mogą doznać przeszkód w opanowaniu treści z powodu równoczesnego podwójnego zajęcia. Notatki mają swoją wartość nawet w razie istnienia podręcznika lub skryptów, muszą być jednak robione umiejętnie, we właściwy sposób. Nie mają być one dosłownem utrwaleniem wykładu; stenogram, oczywiście dobry, ma inne znaczenie, podobnie jak podręcznik napisany przez wydawcę. Cechą wartościową notatek jest ich treściwość i zwięzłość. Winny więc zawierać tylko zasadnicze punkty wytyczne, podające istotę rzeczy. Komentarze, przykłady, drobiazgowe wywody są z reguły zbyteczne. Robienie więc dobrych notatek wymaga bystrości i plastyczności myślenia, należy bowiem chwytać nie słowa, ale zasadnicze myśli w całości i utrwalać je na papierze w chwili równoczesnego słuchania i rozumienia dalszej części wykładu. Potrzeba więc zdolność podzielności świadomości, szczególnie uwagi. W pewnych wypadkach wywody słowne zastępuje skutecznie rysunek z odpowiedniem objaśnieniem, którym też, gdzie tylko można, należy się posłużyć. Nie bez znaczenia jest też zewnętrzny wygląd notatek; przejrzystość, schludność, trzymanie się ustalonych schematów, znaków, barw i skrótów, podnosi ich znaczenie. Wartość ich bowiem w przeciwieństwie do dosłownego stenograficznego zapisania całości polega na samodzielnem przemyśleniu i przerobieniu zdobytych wiadomości, ustaleniu rzeczy istotnych, dokoła których ugrupują się szczegóły drugorzędne, co znowu ułatwia utrwalenie wiedzy przy powtarzaniu, oraz jej reprodukcję.

3. Utrwalenie wiedzy powinno rozpoczynać się jak najwcześniej. Zazwyczaj, zwłaszcza na uniwersytecie, odkłada się opanowanie i utrwalenie materjału na czas przedegzaminowy. Jest to błędne. Ocenia to sama młodzież. Czytałem świeżo w jednem z czasopism akademickich następujące uwagi na ten temat: „...W jakimś dziwnym stanie podgorączkowym uczący przyswaja sobie szybko wiadomości nawet dość dobrze, ale tylko — dosłownie — na jeden dzień. Już w chwilę nawet po egzaminie świadomość jego zostaje prawie całkowicie opróżniona z balastu wiedzy“.

Zjawisko to znajduje wyjaśnienie w znanem prawie psychologicznem, że wiadomości nabyte są tem trwalsze, im dawniej rozpoczęto ich przyswajanie i im dłuższy był czas ich powtarzania. Co więcej: rozłożenie nauki na dłuższy okres okazuje się bardziej ekonomiczne, w sumie bowiem zużywa mniej godzin, niż przy nauce skondensowanej w ostatnim miesiącu przed egzaminem, czy nawet tygodniu, nie mówiąc o wyczerpaniu fizycznem z powodu zbyt forsownej pracy. Powinno się zatem takie powtarzanie i przygotowanie zacząć jak najwcześniej, prowadzić równolegle do wykładów, a zwłaszcza po przejściu pewnych całości pożądany przegląd całej partji, uporządkowanie i ewentualne uzupełnienie wiadomości, do której to rewizji własne notatki są niezastąpioną pomocą. Rozmaitość powtarzanych przedmiotów, ich wzajemne przeplatanie, mojem zdaniem, nie są żadną przeszkodą, ani czemś złem, przy umiejętnem traktowaniu wcale nie powodują rozproszenia, czego się niektórzy obawiają, a owszem bardziej odpowiadają życiu i realnej rzeczywistości, gdzie przecie wszelkie podziały są zawsze mniej lub więcej sztuczne. Przeciwnie wobec wielkiej żywości i bujności polskiej natury, zwłaszcza typu sarmackiego, taka rozmaitość jest skuteczną ochroną przed nudą i znużeniem.

III.

O wiele ważniejsza jest jednak s a m o d z i e l n a p r a c a w s e m i n a r j a c h, l a b o r a t o r j a c h, k l i n i k a c h, na wycieczkach, w polu, w archiwum, w bibljotece. Dziś wobec tych zajęć wykład schodzi na plan drugi. Już przed kilkudziesięciu laty podkreślał Szujski, że „nie tyle to, co profesor mówi, ma się zapamiętać, ile z pomocą profesora wejść samodzielnie w tajniki nauki, nabrać tego sposobu patrzenia i traktowania, którego wymagają kwestje naukowe“.

Zaczątek tego rodzaju zajęć stanowiły średniowieczne dysputacje. Brali w nich udział mistrze i scholarze; jeden z nauczycieli stawiał określone twierdzenie, „tezę“, obecni pokolei podnosili przeciw niej zarzuty, dysputator zaś musiał je wszystkie obalić, wykazując ich bezpodstawność logiczną lub sprzeczność z poglądami ogólnie uznanych powag, jak ojcowie kościoła, kanony i dekrety soborów, poglądy Arystotelesa lub Galena. Gdy jednak dysputacje prócz wyrobienia formalnego miały na celu jedynie utrwalenie pamięciowe treści słyszanej na wykładzie, dziś zadania są szersze i wznioślejsze: chodzi o samodzielne zdobycie przez adepta wiedzy, prawd nowych, albo przynajmniej jemu nieznanych, obok więc utrwalenia chodzi więc o odkrycie wiedzy. Obowiązują tu pewne ogólne przykazania, warunkujące owocność tej pracy, jak i każdej pracy naukowej. Oto najważniejsze, obowiązujące powszechnie bez względu na przedmiot i treść pracy:

1. Należy dążyć do prawdy i tylko prawdy. Konieczna tedy skrupulatność, wytrwałość i bezstronność.

2. Konieczna samodzielność i czynna praca. A więc nie wyręczać się innym, nie polegać na zdaniu innych, choćby najbardziej wiarygodnych i poważnych, lecz samemu odkrywać w miarę możności lub sprawdzać.

3. Krytycyzm należy stosować wobec innych, ale i wobec siebie, nie rzucać twierdzeń, których nie potrafi się uzasadnić, nie lekceważyć poglądów przeciwników, zwłaszcza jeśli nie potrafi się ich bezwzględnie obalić.

4. Potrzebne więc powaga i skupienie, umiłowanie prawdy i dążenie do niej bez jakichś ubocznych celów; potrzebne przygotowanie siebie i niezbędnych przyborów, oddanie się pracy bez zastrzeżeń, bez „patrzenia na godziny urzędowe“.

5. Nie ograniczać się do zdobycia samych faktów, lecz dążyć do ich wyjaśnienia.

6. Jak z wykładów, tak tem bardziej z własnych prac należy robić systematycznie zapiski szczegółowe, do których w swoim czasie dołączy się szersze uogólnienia.

IV.

Uzupełnienie prac samodzielnych stanowi l e k t u r a. Rozpoczynać ją należy od podręczników i dzieł ogólnych, obejmujących całość przedmiotu wedle stanu współczesnego, uwzględniając o ile możności najświeższe zdobycze naukowe. Z kolei przystępować do prac, coraz bardziej szczegółowych, specjalizując się w obranej dziedzinie. W celu zaznajomienia się ze zdobyczami najświeższemi powinno się przeglądać odpowiednie naukowe czasopisma, nie pomijając działu sprawozdań. Tu znowu jedno z zadań kół naukowych, które mogą zorganizować zbiorową lekturę, odpowiednio rozdzielając czasopisma między referentów, którzy zdają sprawę na zebraniach referatowych. Oczywiście nie tyle chodzi o ilość, jak o jakość lektury. Prace ważne, zasadnicze, albo dotykające zagadnień specjalnie interesujących powinny być bardzo gruntownie przestudjowane, przyczem powinno się robić notatki, jak na wykładach lub ćwiczeniach praktycznych, zależnie od tematu bardzo zwięzłe, czasem nawet ograniczone do tytułu, czasem przeciwnie szczegółowe, może nawet z dosłownemi cytatami zwłaszcza jeśli się łączą z tematem będącym przedmiotem pracy specjalnej. Notatki takie najlepiej robić na pojedyńczych kartkach, bo można je potem usystematyzować wedle działów i zagadnień. Oczywiście muszą być one utrzymywane w porządku w specjalnych teczkach, by nie uległy zniszczeniu lub zarzuceniu. I tu znowu, podkreślam, konieczność krytycyzmu.

V.

Ukoronowaniem studjum akademickiego jest dokonanie jakiejś p r a c y n a u k o w e j w ścisłem tego słowa znaczeniu. W obecnym stanie nauk niezbędną przytem jest specjalizacja. Jest ona jedynym sposobem pogłębienia wiedzy teoretycznej i warunkiem samodzielnej twórczości naukowej. Nie mniejsze jej znaczenie i w praktyce, nietylko jako ochrona przed dyletantyzmem, ale i środek postępu, wydoskonalenia i wysubtelnienia w swoim zawodzie praktycznym. Znakomitości o sławie światowej w medycynie, technice, organizacji społecznej — to są specjaliści, fachowcy nieraz w bardzo ciasnej dziedzinie. Podział pracy i specjalizacja obowiązują dziś nietylko w nauce i dociekaniach teoretycznych, ale w całem życiu praktycznem, o ile chodzi o wyższe, zwłaszcza kierownicze, stanowiska, a wszelkie lekceważenia, zaniedbania i odstępstwa pod tym względem mszczą się dotkliwie prędzej czy później.

Ale ze specjalizacją łączą się też pewne złe strony i niebezpieczeństwa. Specjalizacja z konieczności pociąga pewną jednostronność umysłową, która w skrajnym wypadku może oddzielić od rzeczywistości życia, a zasklepić do ciasnej specjalności, obojętnej i nieczułej na wszystko, co poza tę specjalność wychodzi. Tu źródło ekscentryczności i dziwactw, roztargnienia i nieżyciowości wielu sławnych uczonych lub artystów, dostarczających niewyczerpanego tematu humorystom i karykaturzystom. Specjalizacja przedwczesna, bez zdobycia dostatecznych podstaw ogólnych, może okazać się niepożądana w twórczości naukowej, może stać się przyczyną błędów, braków i niedociągnięć, albo stanowić przeszkodę, względnie wywołać konieczność absorbujących robót dodatkowych z krzywdą właściwej pracy twórczej. W pewnych wypadkach wreszcie może dać się dotkliwie odczuć i u praktyka, gdy okażą się po zdobyciu nawet wysokich patentów braki wiadomości i sprawności niezbędnych dla wykonywania zawodu. Objaw to częsty zwłaszcza w zawodzie nauczycielskim, gdzie początkujący mimo wielkiego zasobu rzeczywistej wiedzy, stwierdzi liczne i poważne luki w działach właśnie niezbędnych dla pracy w szkole, tak, że niezbędną okaże się potrzeba douczenia.

Ażeby zachować zalety specjalizacji, a równocześnie uniknąć jej stron złych, trzeba przedewszystkiem opanować ogólnie całość przedmiotu zasadniczego i przedmiotów dodatkowych, ale wcześniej rozpocząć pracę gruntowną w wybranej specjalności tak, by móc w niej pracować samodzielnie twórczo. Ale przytem nie być zupełnie obcym na całość życia zbiorowego, owszem być z niem w kontakcie nawet, gdy się twórczo pracuje tylko w umiłowanej dziedzinie. W czasie studjów ważną rolę odgrywają w tym kierunku stowarzyszenia akademickie ideowe, w których praca stanowi ważne uzupełnienie przygotowania zawodowego.

VI.

Jeszcze na jedną rzecz chcę zwrócić uwagę, mianowicie ważność szlachetnego i silnego c h a r a k t e r u. Powołanie pracownika naukowego jest szczytne, ale i znojne. Nauka wymaga poświęcenia, które w obecnych czasach często jest niedoceniane, a do którego czasem sił braknie. Ale i praktyczne zawody najeżone są nietylko skałami i rafami, ale przepełnione zdradliwemi wirami i mętami, wśród których nierzadko rozbrzmiewają kuszące śpiewy zdradnych syren, sprowadzających na bezdroża. Stąd tak wielu dziś rozbitków i wykolejeńców. Należy z tem się liczyć i wzmacniać swe siły. Nie ufać, że wystarcza przygotowanie wyniesione ze szkoły średniej, przez całe życie uczymy się i wyrabiamy. Hartujmy więc wolę naszą, urabiajmy charaktery wedle wzniosłych ideałów, „budujmy twierdze w sercach“, jak się wyraził śp. minister S. Czerwiński. Tu znowu wdzięczne pole pracy stowarzyszeń i organizacyj akademickich, działalność bowiem zbiorowa jest szersza, łatwiejsza, więc i owocniejsza.

Wierne sztandarowi filareckiemu z dewizą „ojczyzna, nauka, cnota“, wyrobiwszy w sobie hart ducha stałość czystych przekonań, oprze się młode pokolenie zwodnym pokusom, pokona trudy, przeciwności i niebezpieczeństwa, zwycięsko zdobędzie przesłonięte chmurami szczyty ideału.

Początki tajnych związków w Polsce

Niestety, pozostał po tej wielkiej próbie trwały skutek w postaci straszliwej ruiny Polski.

„Potop“ szwedzki jest jedną z najstraszliwszych katastrof w naszych dziejach, — przypominającą pod wieloma względami najazd tatarski w wieku XIII-tym. Tak jak najazd hord Dżingischana i krwawa katastrofa legnicka przecięły pasmo wysokiego cywilizacyjnego rozwoju Polski średniowiecznej, znajdującej się w stanie niezwykłego rozkwitu właśnie w początkach szkodliwej zresztą politycznie epoki podziałów — tak „potop“ zniszczył, utopił we krwi i pokrył zgliszczami wspaniały gmach życia polskiego epoki Wazów, — epoki, będącej kontynuatorką okresu Batorych i Jagiellonów.

Niepodobna poprostu w sposób dostatecznie głęboki ocenić rozmiarów owej „ruiny“ (jak okres „potopu“ współcześnie nazywano), która zamieniła Polskę na jedno wielkie cmentarzysko i pogorzelisko. Niektóre jej skutki po dziś dzień nie zostały jeszcze usunięte[1]).

Klęska tak straszliwa nie mogła się nie odbić w sposób groźny na życiu politycznem Polski.

Straszliwe wyniszczenie Polski pod względem gospodarczym osłabiło siłę państwa polskiego i odbiło się w sposób wysoce niepomyślny na jego potędze militarnej.

Zanarchizowanie życia zbiorowego przez szereg wojen zewnętrznych i co gorsza, walk domowych, zdezorganizowało społeczeństwo, wydobyło na powierzchnię życia pierwiastki wichrzycielskie i anarchiczne, wprowadziło głęboko sięgający zamęt.

Powszechna pauperyzacja, oraz zniszczenie życia kulturalnego odbiło się na kulturze następnych pokoleń: poziom umysłowy się obniżył — zaczęło w Polsce następnego okresu brakować ludzi o szerszym widnokręgu umysłowym, zdolnych do rozumienia zagadnień w wielkim stylu, do prowadzenia szeroko pomyślanej polityki, do płodnej działalności na polu kulturalnem i wogóle do umiejętnego kierowania nawą narodową i państwową. Oczywiście, nie można tego upadku kulturalnego przeceniać. Życie Polski w drugiej połowie XVII wieku nie było bynajmniej tak barbarzyńskie, jak się to dzisiaj z pewnych stron twierdzi. Nie brak mu nawet było pierwiastków istotnego blasku. Wybitną jego cechą było ogromne pogłębienie katolicyzmu. Był to jakby nowy nawrót średniowiecza[2]) z jego jednością moralną, opartą o katolicyzm, z jego płomienną wiarą, z jego wojnami krzyżowemi (Polska — przedmurzem chrześcijaństwa, — Chocim, wyprawa wiedeńska itd), z jego głęboko religijną architekturą (polski barok, tak niepodobny do baroku zachodniego, niekiedy mający w sobie coś z monumentalności i strzelistości gotyku) z jego literaturą rycerską i sielską („Wojna chocimska“ Potockiego, pamiętniki Paska), z jego filozofją scholastyczną, nawet z jego feudalizmem (magnaci i ich klientela). Epokę tę otacza aureola prawdziwego moralnego piękna. Ale mimo to, była to epoka niewątpliwie daleko posuniętego upadku kulturalnego i politycznego.

Ale najgroźniejszem bodaj i najbardziej brzemiennem w złowrogie skutki następstwem „potopu“ był spowodowany tym „potopem“ — zalew Polski przez żydów.

Pierwsi żydzi bywali w Polsce już za pierwszych Piastów, a zapewne też i w czasach pogańskich. Żydowski kupiec z zajmowanej wówczas przez Arabów Hiszpanji, Ibrahim ibn Jakób, który w latach 960—65 odwiedził coprawda nie Polskę lecz Czechy, pisał o Polsce jako „ziemi Mszki“ (Mieszka), o drużynie książęcej, Krakowie (Krakua) itd. Niektórzy pisarze żydowscy twierdzą nawet, — bez większych zresztą historycznych podstaw — że w Polsce pogańskiej żydzi przebywali w większych grupach, że jakaś delegacja żydów hiszpańskich prowadziła w r. 893 pertraktacje z pogańskim księciem polskim Leszkiem itd. Są to tylko legendy, — należy jednak przypuszczać, że pojedyńczy kupcy żydowscy w Polsce pogańskiej bywali.

Bywali żydzi również i w Polsce chrześcijańskiej, a nawet tworzyli w niej pewne skupienia. Znany jest przywilej, udzielony żydom w roku 1264 przez Bolesława Pobożnego, księcia kaliskiego. Zapewniał żydom opiekę król Kazimierz Wielki (potwierdził m. in. przywilej Bolesława Kaliskiego) zresztą bynajmniej nie w tak szerokim zakresie, jak to się dziś powszechnie mniema. Rzekomy dodatkowy przywilej jego z r. 1367 jest w istocie żydowskim falsyfikatem. Odmówili jego uznania Władysław Jagiełło i Warneńczyk potwierdził go dopiero Kazimierz Jagiellończyk w r. 1453. Żydowskie gminy w Polsce powiększały się stopniowo — stanowiły jednak mimo to garstkę dość szczupłą. Dawna Polska aż po wiek XVI była od rozpanoszenia się żydów najzupełniej wolna — i położenie żydów w ówczesnej Polsce o tyle tylko było lepsze, niż w innych krajach, że ich z Polski nie wypędzono[3]).

W wieku czternastym żydów w Polsce, napływających do nas z krajów, skąd ich wypędzano, było już tyle, że zaczęli się dawać we znaki miejscowej ludności, zwłaszcza mieszczaństwu, co stawało się powodem ruchu antyżydowskiego, a nawet rozruchów i pogromów, ale i wówczas jeszcze sprawa żydowska w Polsce była sprawą o znaczeniu drobnem.

Dopiero w wieku szesnastym — pod wpływem skrajnej tolerancji wobec żydów, szerzonej w Polsce przez tajne związki włoskiego pochodzenia w epoce jagiellońskiej — kwestja żydowska zaczyna wyrastać w Polsce do rozmiarów kwestji o większem znaczeniu. Za ostatnich dwóch Jagiellonów i za Stefana Batorego krystalizuje się żydowski samorząd w Polsce. Wzrastają wpływy żydów w dziedzinie gospodarczej i fiskalnej. Na tle powszechnych w całym świecie prześladowań żydów, położenie ich w Polsce, aczkolwiek dalekie od tego, jakiem się stało po „potopie“, było wyjątkowo pomyślne. Ze słynnej polskiej tolerancji (która bynajmniej nie jest zasługą naszych dziejów, lecz ich grzechem) korzystała nietylko reformacja, ale i żydzi.

Pod koniec XVI w. żydostwo polskie, jako mające najlepsze warunki nieskrępowanego rozwoju, objęło przodownictwo (umysłowe, teologiczne, polityczne) w całem życiu żydowskiem w świecie. Punkt centralny życia żydowskiego przeniesił się na przestrzeni wieków z miejsca na miejsce. Mieścił się on kolejno w Palestynie, w helleńskiej Aleksandrji (w Egipcie), znowu w Palestynie (w Tyberjadzie), w Babilonji, w Hiszpanji, następnie w koloniach wygnańców żydowskich z Hiszpanji we Włoszech, w Holandji i w Turcji, a wreszcie przeniósł się do Polski (by gdzieś w wieku XIX czy może nawet XVIII rozdwoić się między Polskę a bogate i postępowe żydostwo zachodnie, najpierw niemieckie, a później francuskie, angielskie, amerykańskie). Już gdzieś w wieku XV staje się rzeczą widoczną, że napływ żydów do Polski posiada cechy koncentracji mniej lub więcej planowej. Widzimy wyraźny proces ściągania do Polski żydów ze wszystkich krajów, — z czasem nawet, później, również i żydów sefardyjskich z Turcji (np. przez Kamieniec Podolski). Świadome ośrodki myśli politycznej żydowskiej dążyły prawdopodobnie zupełnie celowo do skupienia większych mas żydowskich w Polsce, by wytworzyć w niej rdzeń ludnościowy, potrzebny jako ognisko centralne rozproszonej diaspory żydowskiej w świecie. Taki obszar większego zagęszczenia ludnościowego (podobny do obecnego zagęszczenia w Polsce) posiadali żydzi ongiś w Hiszpanji — lecz po ich wygnaniu z Hiszpanji w roku 1492 (w owym roku, w ciągu paru miesięcy, wywędrowała z Hiszpanji liczba żydów, stanowiąca 5 proc. ogółu ludności kraju), Hiszpanja znaczenie to dla żydów utraciła. To też zapewne już wówczas — na przełomie wieku XV i XVI — albo nie o wiele później, zrodziła się w żydostwie myśl planowego skupienia większych mas ludnościowych żydowskich w jakimś innym kraju — i obrania na ten cel Polski. Moment do tego celu był bardzo dogodny: znajdujący się dopiero w pierwszej fazie proces zlewania się Korony z Litwą, wymarcie dynastji i zjawienie się systemu elekcyjnego, różne związane z tem wewnętrzne fermenty, oraz będący skutkiem tych fermentów anarchiczny i sekciarski rozwój reformacji, stwarzały dla penetracji żydowskiej dogodną konjunkturę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Np. przed „potopem“ istniał w Wielkopolsce, na dużą skalę rozwinięty przemysł sukienniczy, którego początki sięgają wieku XIII-go. (Przed XIII wiekiem tkactwo w Polsce miało charakter wytwórczości domowej, tak jak dzisiejsze tkactwo wiejskie). Wprawdzie dawny polski przemysł tkacki nie osięgnął tych rozmiarów, co np. przemysł we Flandrji, gdzie istniały współcześnie fabryki, liczące po kilkaset robotników, był jednak bądź co bądź przemysłem poważnych rozmiarów. Np. w wieku XVI-tym istniało w miastach wielkopolskich około 250 warsztatów tkackich, zorganizowanych na sposób przemysłowy (pracujących na sprzedaż). Głównem centrem tego przemysłu był Międzyrzec (52 warsztaty), pozatem 26 warsztatów istniało w Koźminie, 24 w Kościanie, 22 w Poznaniu itd. Przeciętna roczna produkcja jednego warsztatu wynosiła nie mniej niż około 5600 łokci sukna, czyli że cały ten przemysł produkował w Wielkopolsce nie mniej, niż 1 400 000 łokci rocznie. Przemysł ten, obok „grubych“ gatunków sukna wyrabiał również „elegantiores, alias foldrowane“, był więc już dość wydoskonalony technicznie. Pracował nietylko na użytek rynku krajowego, ale i na eksport. Cały ten przemysł został przez kataklizm „potopu“ zmyty z powierzchni ziemi — i dotąd się jeszcze nie odrodził. (Patrz: Ignacy Baranowski, „Przemysł polski w XVI wieku“, Warszawa 1919, z rękopisu pośmiertnego wydał K. Tymieniecki).

Jeszcze w r. 1765 karczowano w Polsce lasy, rosnące na miejscach, gdzie przed najazdem Szwedów były pola uprawne (Rutkowski „Przebudowa wsi“, „Kwartaln. Histor.“ 1916, 31, Rutkowski „Studja nad położeniem włościan“, „Ekonomista“ 159; cytuję za prof. W. Sobieskim).

Trudno nawiasowo mówiąc, przypuścić, by tak straszliwe zniszczenie było dziełem tylko przypadku — łupieskiego ducha szwedzkich żołnierzy itd. Zapewne odegrała tu rolę świadoma dążność do planowego wyniszczenia Polski.

Wiem z ust Romana Dmowskiego następujący ciekawy szczegół. Ojciec jego był mistrzem brukarskim, — własnoręcznie brukował w ciągu kilkudziesięciu lat swego życia mnóstwo dróg na wsi i ulic w miastach w całem Królestwie Kongresowem. Przy robotach tych nieraz znajdował w ziemi monety. Monet tych, pochodzących z dróg polskich, Roman Dmowski miał ongis wielką ilość. Otóż wśród monet tych, pochodzących z różnych okolic, zawsze przeważały w sposób przytłaczający miedziaki z czasów Jana Kazimierza. Najwidoczniej wszystkie inne znajdowane monety stanowiły zguby, natomiast monety za Jana Kazimierza dostawały się na drogi i ulice z innych przyczyn, niż pogubienie. Zapewne Szwedzi, rabując skarbce i kiesy, zabierali złoto i srebro, a miedź poprostu wyrzucali. Żadne inne wojska, które w różnych czasach Polskę nawiedzały, nie pozostawiły po sobie tak wyraźnego śladu swojego łupiestwa na polskich drogach.

[2]) Zwrócił na to uwagę Jan Rembieliński.

[3]) O historji żydów w Polsce jest wiele opracowań. Interesującym się nią ze stanowiska polskiego można polecić „Historję żydów w Polsce“ Teodora Jeska-Choińskiego, Warszawa 1919, mimo, że nie uwzględnia ona wyników badań najnowszych.

MARJAN CHEŁMIKOWSKI, POZNAŃ

Ks. Piotr Wawrzyniak

W 25-lecie jego zgonu

Gdy w dniu 10 listopada 1910 r. umarł ks. Piotr Wawrzyniak, całe społeczeństwo polskie ówczesnego zaboru pruskiego zrozumiało, iż ubył mu ktoś największy, postać na miarę nieprzeciętną — „niekoronowany król polski“.



W epoce panującej powszechnie mody „odbronzowywania“ wielkich postaci, określenia takie, jak „niekoronowany król“, jak „król czynu“ itp. brzmią trochę staromodnie. I czyż właśnie do postaci ks. Wawrzyniaka przylegają takie górnobrzmiące określenia? Pczornie wydawałoby się, iż przeholowali ci mówcy czy pisarze, którzy w pełnych patosu rozpamiętywaniach życia i działalności zmarłego patrona spółek ukuli szereg formuł, nastrojonych na najwyższy ton, które odtąd tkwią w kartotece dziejowej i jak gotowe szablony wyciągane bywają przy każdej nadarzającej się okazji.

Ksiądz Piotr Wawrzyniak nie był ani efektownym mówcą, ani nie pozostawił po sobie żadnej spuścizny literackiej, pochodził ze stanu chłopskiego i nigdy tego się nie zapierał. Pozostał do końca życia człowiekiem prostym, nie przybierającym nigdy pozy „nadczłowieka“, nie usiłował otaczać się oparami legendy. Spełniał sumiennie swe obowiązki duszpasterskie. Z biegiem czasu wysunął się na czoło ruchu organizacyjnego społeczeństwa wielkopolskiego, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej i temu ruchowi nadał wielki rozpęd. Cieszył się niezwykłym autorytetem osobistym.

W kanwie jego życia dominowała barwa szara; nie dopatrzymy się w niej czerwieni bujnej, bohaterskiej. Nie miał ani jednego zatargu z władzami zaborczemi, był legalistą pedantycznym wprost. Niewiadomo, czy była to cecha wrodzona, czy też wynikająca z wyrachowania, bo obiecująca osiągnięcie celów sobie postawionych.

Czyż zatem słuszne jest rzucać na ramiona takiej postaci szkarłatny płaszcz królewski?

Wielkość w różny sposób się objawia. Nie można jej mierzyć według akcesorjów zewnętrznych. Najpokorniejszy ze świętych — Franciszek z Assyżu — zaćmił swym blaskiem najdostojniejszych książąt kościelnych.

Na czem polegała wielkość ks. Wawrzyniaka?

Był on genjalnym organizatorem i wychowawcą narodu. Stał się wykonawcą programu, wypracowanego nie przez niego samego tylko, narastającego powoli, ale tem mocniej wynikającego z potrzeb społeczeństwa. Nikt bardziej od niego nie przyczynił się do urzeczywistnienia pragnień wielkiego społecznika dr. Karola Marcinkowskiego, zmierzających do stworzenia polskiego stanu średniego. Nikt nie postawił silniejszej i odporniejszej tamy dla przechodzenia ziemi polskiej w ręce niemieckie. Nikt też mocniej niż on nie zdołał scementować społeczeństwa polskiego w jedną solidarną bryłę, o którą odbijały się wszystkie zakusy germanizacyjne. Przy pomocy skromnych i prostych środków zdołał zapewnić temu społeczeństwu dobrobyt, wpoić w nie poczucie godności obywatelskiej i posunąć znacznie naprzód dążenie do odzyskania samodzielności politycznej.

Jego przedewszystkiem jest zasługą, iż Wielkopolska wyprzedziła wszystkie inne dzielnice w harmonijnej budowie społecznej, że na tym terenie wyrównane zostały te luki, jakie pozostawiła po sobie nierozumna i jednostronna polityka szlachecka Polski przedrozbiorowej, niedoceniająca roli mieszczaństwa i gnębiąca włościaństwo.

Chociaż syn chłopski, ks. Wawrzyniak nie uprawiał polityki klasowej, chłopskiej. Zawsze dobro całości stawiał na pierwszem miejscu. I jakkolwiek nie należał do żadnego obozu politycznego, przecież był niewątpliwie narodowcem z głębokiego przekonania, był narodowcem z czynów swoich. Najważniejszą dla niego była „sprawa“. Dla niej spalało się życie jego, niepospolita energja i wszechstronnie wyszkolony umysł; „sprawie“ służył bez przerwy.

W tem poświęceniu się dla ogółu, w tej pracy dla całości starał się wychować tych, z którymi spotkał się na terenie coraz to liczniejszych organizacyj. Pamiętajmy, że na umiłowanym przez niego odcinku spółdzielczym w chwili jego zgonu pracowało 125 tys. członków, pozostających pod urokiem i wpływem jego genjalnej osobistości.

Nie trzeba tu wymieniać cyfr i faktów, określających rezultaty jego pracy na polu czysto materjalnem, gospodarczem, choć były one imponujące. Byłoby obniżaniem wielkości ks. Wawrzyniaka, gdyby się tą miarą chciało wyłącznie mierzyć jego zasługi.

Gdy ten wielki człowiek zamykał na zawsze oczy, społeczeństwo wielkopolskie było dojrzałe do niepodległości politycznej. Wzorowo zorganizowane, karne i solidarne, świadome swych celów reprezentowało wartości pozytywne i organizacyjne, jakiemi nie mógł się poszczycić żaden inny odłam narodu polskiego.

Znaczna część tych wartości dochowała się w Wielkopolsce po dziś dzień. Nie znalazły one uznania w oczach tych, którzy kierowali nawą państwową w ostatniem dziesięcioleciu. Gdy zbliża się chwila ostatecznego oczyszczenia z chwastów pola pracy państwowej, trzeba dać wyraz przekonaniu, że te wartości, które reprezentuje Wielkopolska w dziedzinie społecznej, gospodarczej i ogólno - narodowej, zajmą właściwe miejsce i należycie będą zużytkowane.

W chwili tej pamięć nasza z wdzięcznością zwróci się ku tej wielkiej postaci, która na zbiorowej duszy Wielkopolski wycisnęła potężne swe piętno.

JAN BIELATOWICZ, KRAKÓW

Perspektywy młodości

czyli walka indywidualizmu z ideowością

Niema chyba chwil większej radości dla nas, młodego pokolenia narodowego, gdy możemy przekonać się o istnieniu, wartości i potrzebie naszej idei. A najłatwiej tę radość uzyskać, rozglądnąwszy się, co się dzieje dokoła, co myślą i robią inni. Z drugiej strony żal nam, że wielu Polaków o duszy łaknącej ideału nie może, a częściej nie chce zagościć w kuźni naszej myśli i czynu.

Taki żal może opanować przy lekturze gorącego artykułu p. t. „Perspektywy młodości" Kazimierza Wyki, bardzo zdolnego młodego krytyka, asystenta polonistyki na Uniw. Jag.*). P. Wyka wrócił niedawno z Francji, gdzie przebywał jako stypendysta i gdzie śledził pilnie ruchy umysłowe i polityczno-społeczne młodego pokolenia. Owocem tych zainteresowań jest rozprawa p. t. „Prądy duchowe wśród młodzieży francuskiej", drukowana w 4 zesz. „Marchołta". Nasyciwszy się wartościami tamtych idei, zapragnął p. Wyka w porównaniu z niemi powartościować działania współczesnej młodzieży polskiej. Popełnił w tem zasadniczy błąd: tamtemi miarami oszacował wartości nasze. Tamtym w dodatku ślepo wierzy i, co stwierdzić się musi, tamtemi wartościami przejął się do głębi. A francuska umysłowość — stwierdza p. Wyka — „jest intelektualnie uniwersalistyczna, bo ma zaufanie w porządkującą rolę rozumu, ważniejszą dla niej od zaufania w zagłębiające znaczenie uczucia... Z drugiej zaś strony ta kultura buduje na osobowości poszczególnej, uznaje jednostkę, jest mądrą wiadomością, że abstrakcja gatunku ludzkiego jest możliwa tylko przez uznanie odrębnych indywidualności". Uzbrojony tym odległym ideałem — indywidualizmu i intelektualizmu, krytykuje p. Wyka b. ostro polską młodzież, dochodząc do wręcz pesymistycznych przekonań. A więc, że w obecnej polskiej młodzieży niema śmiałości, prawdziwej młodości, odwagi cywilnej („bo nie może jej być"), nigdy pono nie szerzył się tak oportunizm, zrezygnowanie ze swego ja. Trudno dziś być sobą; „jakież wartości wnieść może młodzież, zaczynająca od kompromisu, od niewiary w indywidualność swoją?" Wniosek ostateczny brzmi: „zanik wśród młodych zainteresowań czystych dla idei".

„Rzeczy najprostsze coraz trudniej zrozumieć" — oto zdanie bezwzględnie najsłuszniejsze w całej rozprawie p. Wyki. I niestety mamy prawo przypuszczać, że da się ono odnieść i do jego autora. Czyż doprawdy ten potężny, ofiarny, mający swą bolesną, krwawą martyrologję ruch — ruch narodowy nie zasługuje na miano idei czystej? Czy on sam nie odkupuje całej obrzydłej szarańczy zła, sprzedajności i oportunizmu, jakie podniszczyły trochę zieleń duszy polskiej? Życiem i twórczością idei zajmowała się i zajmuje zawsze tylko elita społeczeństw. Reszty sądzić ze stanowiska idei niesposób. Dopiero z wartości i trwałości idei tej elity sądzić można o wartości samej elity. Prawda, zdarza się to u nas, że pod pozorem idei walczy się o interes osobisty lub co gorsza, walczy się z niewygodnemi jednostkami lub grupami, ale to na małym odcinku wśród naszej młodzieży. Być może, że spotkał się z tem p. Wyka. Ale zamiast głosić requiem idealizmowi polskiej młodzieży, lepiejby się baczniej przyjrzał ruchowi narodowemu.

Stanowisko p. Wyki jest szczere i w pełni uzasadnione, ale — jednostronnem, fanatycznem kryterjum. To kryterjum, to nierozłączna para — indywidualizm i intelektualizm. Dwa obozy walki o duszę dzisiejszego i jutrzejszego pokolenia zarysowują się dziś wyraźnie: prymat rozumu — posłuszeństwo uczuciu, klerki — instynkt społeczny, pesymizm — optymizm, wieczne szukanie — budowanie, kosmopolityzm — nacjonalizm. Jakże mimo wszystko posłuszne są poglądy p. Wyki sądom J. Bendy. W głównym artykule „Pionu" głosi Benda: „Jak więc mamy ocalić europejską cywilizację? Jak mamy ją uzdrowić? Przez ponowne rozbudzenie, szczególnie wśród młodszego pokolenia, wśród młodzieży akademickiej, **poczucia uniwersalizmu ducha.** Dlatego trzeba koniecznie... **postawić dzieła intelektu ponad dziełami uczucia...**"**)

Trudno się nienawykłemu wyzwolić z myślenia jednostkowego. Człowiek wprawiony do tego typu myśli, uprawiający, jak to określił Massis, rozpustę duchową, nie pojmuje potrzeb myśli i ruchów społecznych. Jeśli je aprobuje i o nie woła, to tylko jak krytyk, użalający się na brak wielkich dzieł, by się mógł pławić w różnych sfingowanych „rozkoszach estetycznych, intelektualnych" itp. Indywidualista wszędzie znajdzie teren dla krytyki, nigdzie dla współdziałania. Roi się od takich ludzi w Polsce: kimże są wszyscy sybaryci z pod znaku p. Grydzewskiego? Niestety jest ich daleko, daleko więcej. Nie rozumie taki intelektualista — indywidualista służby idei. I tak sądzi innych. Dlatego u najgorętszych idealistów widzi obłudę i cynizm, u zapaleńców demagogję. Nie umie ocenić człowieka społecznego. Indywidualista ma pozorną wyższość umysłową nad społecznikiem. Bo pierwszy, nieskrępowany niczem, nieodciągany, poświęcony tylko swojej myśli, pnie się po coraz to wyższych szczeblach intelektu i doświadczony, staje się sceptykiem, traci punkt oparcia w poglądzie na świat. Społecznik myśli za zbiorowość. Duch jego musi ciągle unosić się nad nizinami, dźwigać z upadku, wglądać do suteren duszy człowieka, troszczyć się o mały, ale powszechny postęp. Indywidualiści zwykli to określać mianem zacofania. Ale to tylko pozory, bo społecznik zwycięża indywidualistę pracą, efektem czynu, optymizmem ,a więc wartościami społecznemi. Indywidualiście pozostaje krytyka.

Trzeba pojąć: hamletyzm, t. j. pretensje do życia i ludzi o ciężar życia osobistego — to znamię epoki indywidualistycznej. Narodowy światopogląd głosi, że na łaskę życia wśród społeczeństwa trzeba sobie zasłużyć, wkupić się weń pracą i ofiarą dla tegoż społeczeństwa. Stąd to ów tak strasznie malowany rygoryzm wobec jednostki w ustrojach narodowych. Niema w nich owych „idei samodzielnych", o które woła p. Wyka. Musi każdy pojąć, że te wszelkie partykularne idejki nie mają prawa bruździć wielkiej idei narodu. Hyperkrytycyzm indywidualistów wyradza się w ślepotę. Kiedyż nareszcie nasi indywidualiści dadzą sobie spokój z sugerowaniem opinji, że ruchy nasze są kopją obcych? Toż to poniżanie godności całego narodu!

Jeszcze jedna cecha intelektualizujących indywidualistów: dla nich dzieje się fatum, które mamy prawo oglądać. Drży p. Wyka na myśl, że może afirmujemy złe formy historji. **Otóż na historję się nie czeka, ale się ją tworzy! Wielki prąd nadejdzie wtedy, gdy pełną duszą i całą wiarą uwierzymy weń i wyłącznie się mu oddamy.**

A zaś do tej wiary trzeba pewnej pokory.

*) „Verbum" r. 1935 z. III i os. odbitka.

**) „Kultura duchowa przeciw nacjonalizmowi", „Pion" r. III nr. 29.

KONSTANTY DOBRZYŃSKI, ŁÓDŹ

Intermezzo o północy

Stwardniały mroki na kamień
i cisną
boleśnie, aż tchu brak.
Czas oczami zabłysnął
i rzucił przez ramię
wyszarzały swój kubrak
i zadrżał ostrzem wskazówek przeklęty —
ścisnął się lodem... zastygł...

Dołem, jak koszmarne chwasty,
pełzną ostatnie minuty...

Północ...
W takiej chwili wieczność drży na końcu noża...
z odmętów
wyłaniają się żagle strzaskanych okrętów
i łun się krwawi niezagasłych pożar!...

Tyle dyszących ust dookoła,
splątanych ciał,
męki...
Ktoś rwącym chwytem rozpaczliwej ręki
chce potargać obrożę
Ktoś woła:
— O Boże! Boże...

Słowa... Słowa niedomówione,
z pod serca niewyrwane,
szalone,
pogmatwane
i łopot serc...
I chceń spienione, szalone mustangi —
pochwytane, spętane,
kopyt falangi —
miażdżące w żarze gorzko - słone błoto!...
(O upiorna, upiorna tęsknoto!...)

Dudnią pięściami w okute wierzeje
jarzący buntem ślepi Prometeje,
Syzyfy huczą po urwistych skałach
i grzmot się rozlega daleki...
Drży ziemia cała...
Pobladły wieki...

A czas s t o i przyparty do ściany —
oniemiały, zdyszany,
a mroki twarde jak kamień
i taka chwila dręcząca
oczekiwania,
i krew gęsta, gorąca
i łopot serc...

Może się coś przełamie,
może coś nagle w ciemnościach rozbłyśnie,
coś się spieni, wytryśnie...
coś pęknie,
jakaś struna zajęknie
i rozkrzyczy się wichrem w pratwórczych patosach?
Może na szczyty szaleni się wedrą
i rozedrą
niebiosa?...
— — — — — — — — — —
Lecz nic—
ze zgrzytem strzałka sunie się — na prawo,
i chrypi znowu czas,
i płynie...

Nie pęknął głaz —
nic się nie stało;
tylko w ciemności koszmarnej gęstwinie
coś zaszlochało,
coś rozpłynęło z Pegazów kurzawą...
Tylko spętane w lochach ludzkie duchy
zabrzękły głucho o rdzawe łańcuchy.
I tylko łopot serc
gasnący...
Jak płomień co się dopalił!
I księżyc drwiący,
złowrogim skurczem miedzianych swych lic.
Gdzieś tam piramid walących się trzask,
co w mózg się wwierca!
I nic...
— — — — — — — — — —
Z oddali,
skokami przez bruzdy, skrada się brzask
szyderca...



Fot. Konrad Hoffman.

T. Z. HERNES, POZNAŃ

Rozmówki prowincjonalne



Na horyzoncie literackim Wielkopolski od dość dawna jaśnieje szczery talent Tadeusza Hernesa, wesołego feljetonisty kilku pism narodowych. Tadeusz Hernes rozpoczął swoją pracę literacką przed około 10 laty na łamach „Orędownika" we Wrześni, która z pośród młodego pokolenia dostarczyła dużo rzetelnych talentów pisarskich, że wymienimy tu choćby prof. Marjana Turwida, prof. Alfonsa Szyperskiego, ks. Bronisława Mullera (Szczebrzyc), redaktora naczelnego „Polaka na obczyźnie", wydawanego w Paryżu.

Oryginalne podejście do tematu, specyficzny styl, młodzieńcza żywość, barwność w przedstawianiu opisu, cięta satyra i ten beztroski, niezawodny humor sprawiają, że feljetony Hernesa cieszą się wielką poczytnością wśród czytelników, ugruntowując niezwykłą jego popularność.

Poniżej zamieszczamy poraz pierwszy w naszem piśmie feljeton Hernesa pt. „Rozmówki prowincjonalne", utrzymany w duchu regjonalnym poznańskim, którego dobrym znawcą jest autor. Feljeton ten wygłosił Hernes przed mikrofonem Polskiego Radja w ramach „swawolnego kwadransa" i, jak słychać, przyjęli go słuchacze radjowi z wielk. zadowoleniem.

Zamieszczoną podobiznę Hernesa wykonał przyjaciel jego i kolega z lat szkolnych Marjan Turwid. Zaczerpnęliśmy ją z albumu portretów wrzesińskich, pięknie wydanych w zasłużonej oficynie Andrzeja Prądzyńskiego we Wrześni jako „Szkice portretowe".

Autobus miał lada chwila ruszyć w kierunku: Swarzędz, Nekla, Podstolice, Września, Strzałkowo na Słupcę. Motor już był w ruchu, tłok w autobusie nieopisany, a tu wciąż nowi pasażerowie nadchodzili i pchali się do wnętrza. Rozumie się, ludzie obsiedli wszystkie miejsca tak zwane siedzące, a potem ciżbą, ludzkie pojęcie przechodzącą, zajęli komplet ostatni skrawek autobusu. — A tu wciąż jeszcze siadali nowi. Siadali, to jest stali, bo o siedzeniu — jak się rzekło — nie mogło być mowy. Nastrój, jasna rzecz, stawał się, że tak powiem, gęsty jak ten tłum autobusistów, atmosfera, inaczej powietrzem zwana, trudna do użytku, czyli do oddychania. Ludzie byli przeto trochę przytłoczeni na umyśle i na ciele, albowiem prócz atmosfery dużo miejsca zajęły kosze od masła i jaj, toboły i różne graty tudzież niemowlęta, skrzętnie zapakowane w poduszkach.

Dopiero trochę powietrza i lepszego nastroju wniósł ostatni pasażer pan Ignacy Szalaty, obywatel ze Strzałkowa, który rzetelnie zziajany wkorbalił się z paczkami do autobusu i przywitał się z dobrym swoim znajomym panem Alojzem Kaczmarkiem z Wólki, z którym onego czasu razem służył w wojsku, razem odbywał wojnę światową na wszystkich frontach i na wszystkich tyłach, kończąc ją, także razem, normalnie jako zwykły „gemeiner landszturman".

— Jak sie mosz, kochany kolego — krzyknął donośnym głosem Szalaty, spostrzegłszy Kaczmarka. — Koński rok cie nie widziałem, psiakruszka. No, no, jak tam ciebie idzie?

— Ady, niech ci Pon Jezusinek zapłaci. Idzie mi, czymu niemo iść? — odparł uprzejmie Kaczmarek.

Coś tam jeszcze powiedział, ale nie można było dosłyszyć, bo w tej chwili zadrżała blaszana landara autobusu, który z miejsca ruszył lekkim kłusem, przechodząc zwolna w galop, tak, że na zakrętach pasażerowie kiwali się niby łany zboża, to w jedną to w drugą stronę, specjalnie zaś Kaczmarek z Szalatym oddawali sobie nawzajem mimowoli ukłony. Rozmowy jednak nie przerywali, prowadząc ją w sposób niezwykle donośny, aby zagłuszyć turkot autobusowy.

Stałem obok nich, głową podpierając dach, na którym ulokowano rowery, tak zwane kisty, klatkę z królikami i z pieskiem, który króliki ustawicznie przeganiał, i co cięższe ruchomości, których do autobusu nie dało się wsadzić. — Boleśnie spoglądałem na panią Walerję Walkowiakową z Nekli i panią Dłubkową z Anastazewa, dwie przysadziste niewiasty, które zajęły ławkę na trzy miejsca, mając na łonie drobny inwentarz domowy. Miejsca między babami nie było prawie nic, najwyżej tyle, że od biedy chudy urzędnik mógł siąść tak zwanym półgębkiem. Co chwile chwytałem się widocznie za kolano.

— Siadej pon — zaprosiła pani Dłubkowa, posunąwszy się trochę w bok.

— Bóg zapłać, bardzo chętnie, czemu nie? — podziękowałem i siadłem, rozbijając kobiety w sposób oczywisty a znaczny.

— Pon widze chorowity wew te noge — zaczęła pani Dłubkowa.

— A tak, owszem, jestem, że tak powiem, formalnie ranny.

— Ranny? Taki młody i ranny? I jeszcze formalnie, pan mówi?

— Jak na spowiedzi mówię: jestem formalnie ranny, to jest gorzej jak normalnie i nigdzie nie jest powiedziane, że tylko stary może być ranny.

— Pan niby na wojnie raniony?

— Tak, niby noga mnie boli.

— Sie rozchodzi o to, czy pon raniony na froncie. Na Francuzach czy na Rusokach. Niby czy pon raniony jesta w polu?

— Gdzietam, w nogę, toć mówię wyraźnie, jestem ranny, poniżej kolana i właśnie dlatego mnie boli...

— O rety — wtrąciła się pani Walkowiakowa — ale też pon tępy, a taki, wydaje się rozgarnięty. Że pon w nogę raniony, to się wi, się rozchodzi pani Dłubkowej, czy to się stało w polu?

— Pewnie, że w polu, gdzieby tam. O kamień się huknąłem i rana gotowa.

Baby pokiwały nademną głowami z politowaniem i umilkły. Więcej już się nie odzywały. Tymczasem pan Kaczmarek z panem Szalatem prowadzili już na całego ożywioną rozmowę. Poruszali właśnie temat tak zwany polityczny, to jest aktualną i bardzo palącą sprawę wojny włosko - abisyńskiej. Pan Szalaty trzymał stronę Abisyńczyków, przyczem tak przejął się ich sprawą, że w patrjotycznem uniesieniu wczuł się zupełnie w rasowego Abisyńczyka i o Abisynji mówił wyłącznie per „my". Kaczmarek natomiast przeciwnie, stał się prawdziwym Mussolinim. Obaj z pasją zwalczali się wzajemnie z zaciętością Abisyńczyków i jako dawni landszturmani kombinowali nad możliwością wygranej, posługując się taktycznemi pociągnięciami i zwrotami iście bojowemi.

Wykazali tu — trzeba przyznać — świetną znajomość terenu, klimatu i warunków wojennych..

— Sie nie bój, Kaczmarek — mówił Szalaty — nasi waszych popuszczają tak ino naumyślnie, a jak wleziecie wewte ciepłe kraje, jak waszych obkolą, jak ścisną, to się nie będziecie mogli nawet ruchać. Zaś potem to waszych wykurzą, że się nie pozbieracie. A zresztą jak wojsko nie dostanie wody, to samo powygina.

— Co mówisz? Co zrobi?

— Powygina, mówie, nie rozumiesz?

— Kogo?

— Co kogo?

— Kogo wygina?

— Kogo? — głupie pytanie. No przecież od gorąca każdy zwierz wygina.

— Rozumie się od gorąca to nawet zielazo da się wygiąć.

— O rany, człowieku, wygina to znaczy się wszystko zdycha czyliże też umiera. A potem co ci powiem? Jak waszych wpuszczą jeszcze głębi, jak sie dostaną między te skały, między tygrysów i lwów i hijenów i słoniów, to im te bebechy sie poskręcają i jeszcze ich tygrysy zażrą.

— A ja mówię, że ten twój Nygus i tak sobie rady nie da.

— Co za nygus, komu nygus?

— No ten twój czarny król z ciepłych krajów w łapciach.

— Przedewszystkiem w żadnych łapciach, a zaś potem nie nygus, bo nasz cesarz jest człowiek pracowity i sumienny.

— Choćby, ale jak powiadają, nasi zdobyli już Aduę. Adua padła — pisali gazety.

— Uwożej ino, żebyś ty nie upadł z tymi twoimi makaroniarzami, kluskami karmionymi. Jakby nasi chcieli, toby ich zżarli z bebechami i z tym makaronem i kto wie, jak ich racha nie weźnie, czy jeszcze tego nie zrobią.

— Faktycznie nie zrobią, bo ich nasi zajdą od flanki, to będą fyrać jak te bolszewiki.

— Rozumie się samo przez się, że od flanki,. bo od przodku, toby my sie przecież nie dali. Mają te makaroniarze antelerję, maszynówki, tanki to — wiadomo — jak zrobią „szperfojer" to te nasze bidoki nie mają rady, muszą dymać.

— A jeszcze zapomniałeś, że majom aeroplany...

— Prawda, ale sie nie bój, nasi mają też roplany.

— Ha, wiele ich tam mają: jeden do dwóch, a ten jeden jeszcze zepsuty i nima kto go zreperować, bo żaden czarny Abisyńczyk się na tem nie wyznaje.

— Ale nowe budują i latają zaś potem.

— Poczem?

— Po powietrzu niby. Budują — uwożosz — i fruwają po powietrzu jak te ptoki, jak Włochy. Ameryka tyż naszym przyśle roplanów i marmulady i okrasy, co się zmieści.

— A co ty myślisz włoska kafalerja, infanterja, antalerja, bomby gazowe i wogóle gaz i gazmaski na ludzie, a konie w gazmaskach to pies?

— Piewnie, że koń to nie pies, a tam koniów nima ino muły, ty wole jeden.

— Wszystko jedno i wasi nawet gazmaski nie mają, tylko ścierkami maczanemi — z przeproszeniem — w takim płynie płaskie nosy sobie zatykają. To musi szportownie wyglądać iść tak na wojnę. Albo myślisz, że Abisyńczyki mają tanki?

— A co, że mają!

— Guzik. Jeden czołg mają, który im podarował nasz król przed laty na pamiątkę jako dobry kumpel króla Nygusa.

— No, takie coś — oburzył się p. Szalaty — to istny kintop dać komuś tanka, a zaś potem ćpać sie na niego z setką innych tanków. To jest świństwo, no nie? Jest tak, czy nie jest tak?

— Tak jest, poniekąd.

— A jak myślisz, wygrajecie wy te wojne, czy nie wygrajecie?

Kaczmarek zadumał się głęboko nad tem pytaniem i zanim zdążył odpowiedzieć, wtrącił się pan Franciszek Szykowny, wyborny mistrz szewski ze Swarzędza, znany z fabrykacji szykownego obuwia. Długo przysłuchiwał się tej ciekawej i fachowej rozmowie i teraz, jako słuchacz objektywny, nie zainteresowany ani w tę ani w tamtą stronę, powiedział głęboką prawdę:

— Mnie się zdaje, tak na mój głupi rozum, że albo wygrajecie albo przegrajecie — albo... kto wie. Innego wyjścia niema.

— Ale wogóle co tu gadać o wojnie. Wojny nima — szkoden goden. Poseł włoski z Abisynji nie został odwołany, podobnież poseł abisyński z Rzymu. Stósunki między Włochami i Abisynją są zatem zachowane. I zdaje mi się, że sam Musielini powiedział, że wojny nima i pewnie nie będzie, a to co jest, to tylko drobne utarczki i stałe zaczepki nadgraniczne ze strony Abisyńczyków, którzy koniecznie chcą wojny. Przecie wojna może być tylko wtedy, gdy zostanie wypowiedzona, a tu nikt nikomu wojny nie wypowiedział i niema formalnie o co się kłócić.

Pana Kaczmarka i pana Szalatego też formalnie zatkało.



„Bezdomny" (linoryt) E. Kowalski, Kraków.

MASZA OSTROWICKA, ZAKOPANE

L. M. Tołstoj i T. G. Masaryk

Tej jesieni upływa 25 lat od śmierci największego rosyjskiego pisarza Lwa Mikołajewicza Tołstoja.

Jeden z pierwszych artykułów w tej kwestji ukazał się w Pradze czeskiej w „Slawische Rundschau" pióra J. Silbersteina z Moskwy. Artykuł ten, który zapewne nie zawiera wszystkiego tego, co w rosyjskich archiwach odnalazł p. Silberstein o styczności L. Tołstoja z Masarykiem, oświetla jednak dostatecznie i jasno przyjazny stosunek, który łączył tych dwóch reprezentantów rosyjskiej i czeskiej kultury.

J. Silberstein pisze, że profesor uniwersytetu Grot zaznajomił prof. Masaryka, obecnego prezydenta Czechosłowacji z Tołstojem.

Pierwsze spotkanie odbyło się z początkiem 1887 r., a 28 kwietnia tego samego roku odwiedził Masaryk Tołstoja na Jasnej Polanie, gdzie zatrzymał się dwa dni. Tołstojowi podobał się Masaryk, czego dowody znajdujemy w listach pisanych przez niego do jego żony Sofji Adrejewnej. W książce „Czeskoslovenske vspominky na Jasnou Poljanu" jest to spotkanie po czesku opisane, o czem informuje też i odczyt, który wygłosił Masaryk po śmierci L. M. Tołstoja w Pradze, dnia 26 listopada 1910 r.

J. Silberstein pisze w swoim artykule jeszcze o referatach Masaryka o Tołstoju w Wiedniu i w rosyjskiej gazecie „Rjecz".

Masaryk pojechał raz jeszcze do Tołstoja do Rosji w roku 1888.

O tem spotkaniu podaje Silberstein korespondencję braci Grotów i Czertkowa.

Z listów Tołstoja do G. Czertkowa w Moskwie dowiadujemy się, że Tołstoj zawiadamia Czertkowa, iż na podstawie rozmowy z Masarykiem chce założyć w Lipsku międzynarodowe wydawnictwo. W niem to ukazywałoby się wszystko, co najlepsze w literaturze i sztuce wytworzył umysł ludzki. Bibljoteka ta miała wychodzić w języku rosyjskim, francuskim, niemieckim i angielskim. Projekt ten jednak, jak pisze J. Silberstein, nie doszedł do skutku.

Masaryk był tym, który skierował uwagę Tołstoja na Chełczickiego „Siet wiery".

Potem Masaryk z Tołstojem nie spotkali się aż po 20 latach, jednak Tołstoj myślał często o Masaryku, czego dowodem był list do Makowickiego, gdzie Tołstoj pisze: „O ile zobaczy Pan Masaryka, to powiedz mu Pan, że wspominam go często i że go kocham".

Masaryk posłał swoje książki Tołstojowi, przechowywane do dziś w jego bibljotece.

Ciekawym objawem jest, że Tołstoj pisał w roku 1910 do wydziału czeskiego stronnictwa postępowego i prosił, aby ono, z okazji sześćdziesięciolecia Masaryka, podkreśliło jego stosunek do czeskiego uczonego. Następny list pisze Tołstoj do tegoż stronnictwa z podziękowaniem zarządowi za ułatwienie mu sposobności wyrażenia Masarykowi wdzięczności i okazania mu swojego uznania za jego społeczną i naukową działalność.

Wkrótce potem przyjechał Masaryk na Jasną Polanę i zatrzymał się tam dwa dni. Wrażenia, które odniósł z tych odwiedzin, podaje w swoich wspomnieniach „Ad memoriam".

O książce Masaryka „Lebewražda" (Samobójstwo) wyraził się Tołstoj, że jest to książka zajmująca, jednak za młoda i zbyt uczona, gdyż książkę tę pisał Masaryk mając lat 40. Według zdania Tołstoja, był to wiek za młody na tego rodzaju kwestje. Do książki tej dopisał Tołstoj 40-ści uwag na brzegu stronnic.

Dwa miesiące przed śmiercią czytał Tołstoj jeszcze raz Masaryka: „Samobójstwo" i „Socjalne zagadnienia".

Pod światło...

Melancholje jesienne

Rząd wreszcie otrzymał od izb pełnomocnictwa. Rozważny i stateczny Senat zbyt długo wprawdzie zastanawiał się nad tem: dać, czy nie dać? Niecierpliwiło to aż cierpliwego p. wicepremjera Kwiatkowskiego. Przy długich rozwlekłych debatach niejedną wypowiedziano reprymendę pod adresem rządu. Wkońcu jednak „bez entuzjazmu" pełnomocnictwa uchwalono.

Gdzież się to podziały te stare, dobre czasy „radosnej twórczości"?...

*

Spektakle na ul. Wiejskiej stały się ogromnie nudne i bezbarwne. Dla ożywienia tych widowisk inscenizuje się od czasu do czasu nie tyle występki, co występy opozycyjne, ale wypadają one ogromnie mizernie i mało zabawnie.

P. Świtalski, który nie bez słuszności sam siebie określił jako pomniejszyciela roli dawniejszego Sejmu, ba, przyznał się nawet, że „w tej robocie krztynkę przesadził", teraz usiłował nas zabawić w roli jego obrońcy. W trosce o legalność grozil nawet paluszkiem, że „wymijać się z prawem nie jest dobrze!" Za tę pieśń pokutną, za tę skruchę godzien jest doprawdy nagrody, orderu. Bo łaski przebaczenia samemi łzami pokuty okupić nie można.

*

Pięknie, poetycznie niemal mówił p. Świtalski o „marszu po polskich drogach". Ale najwidoczniej odczuł już słabość w nogach „kolumny marszowej", skoro w rytm marszu wdarła się nuta melancholji i zwątpienia.

„Rozumiem — mówił p. Świtalski, — że ktoś zwikła krok, że niejeden od kolumny odpadnie i że wielu będzie upominać się o melodję, któraby równy takt marszu mogła utrzymać.

„Rozumiem tę tęsknotę i wiem, że należy ją zaspokoić. Lecz boję się przesady. Wolałbym, byśmy nie dopingowali się w marszu okrzykiem, że ziemia już pali się pod stopami. Nie grali marszów żałobnych nad tem, co było".

Cóż za smutne przeczucia!...

*

Dwutygodnik „Polityka Gospodarcza" pisze m. in.:

„Weksel programowo - gospodarczy Rządu (to duże R orjentuje o orjentacji — przyp. red.) ma solidnego wystawcę i dobrego żyranta. Miejmy nadzieję, że będzie należycie honorowany".

Pozwólmy sobie na skromne zapytanie: kto weksel ten ma honorować? Przecież jest to osobliwa operacja „kredytowa". Weksel wystawił rząd, żyrowały — Sejm i Senat, ale płacić będzie napewno — społeczeństwo.

*

W programie gospodarczym rządu wysunięto na czoło zagadnienie zrównoważenia budżetu. Gdyby to było zadanie bardzo proste i łatwe, możnaby zaufać, że ci, którzy się do tego dzieła zabrali, z pewnością go dokonają. Ale nie jest to taka prosta sprawa.

U nas, w Polsce przyzwyczajono się żyć ponad stan, po pańsku, z „luksusem" (teza gospodarcza rządów p. Bartla). Ale okazało się, że długo żyć tak nie można. Chodzimy dzisiaj w dziurawych lakierkach i w podartym fraku.

Spróbujcie teraz doprowadzić to do porządku. Nie tak łatwo. To też nie trzeba się dziwić sceptycyzmowi, jaki towarzyszy wysiłkom pp. Kościałkowskiego i Kwiatkowskiego. Jeśli samemu panu Stpiczyńskiemu nasuwa się dylemat: „zaufać, czy patrzeć spodełba?" — to cóż dopiero szaremu człowiekowi, który już tylokrotnie przekonywał się, że dobremi chęciami sanacji skarbu i gospolarki państwowej jest wybrukowane piekło niedoli gospodarczej kraju...

*

P. minister Kwiatkowski posiada w wysokim stopniu rozwiniętą wyobraźnię. Kto wie, czy nie byłby ozdobiony wawrzynem Akademji Literatury, gdyby się był zabrał do poezji lub powieściopisarstwa. Trzeba bowiem niebylejakiego daru wyobraźni, by móc sobie wyimaginować, że przy takiej nędzy w kraju, przy takiem wyniszczeniu jego sił gospodarczych można zrównoważyć budżet powiększeniem dochodów, a nie przedewszystkiem poważną redukcją wydatków.

Dziś wszyscy mówią z niepokojem o nowych podatkach, o nowych obciążeniach. P. min. Kwiatkowski wzywał do ofiarności. Na altruizm można się zdobywać, jak jest z czego.

Trzeba przedewszystkiem znaleźć lekarstwo na pusty żołądek w kraju.

*

B. B. smutny miało pogrzeb. Niedorozwinięte — w dziecięcym zmarło wieku. Pocichu i skromnie, w ścisłem gronie dokonał się żałobny obrzęd. Łzy sieroce ocierali tylko sekretarze.

A tyle się mówiło o górnych celach B. B. Cóż po niem pozostało? Cóż po jego górnych wzlotach?

„Podobni jesteśmy — pisze p. Stpiczyński — ptakowi, który, spoglądając na żółknące liście, myśli o bohaterskim locie w krainy wiosny, siedząc w klatce. Wspaniałe zasady wychowawcze, różne piękne „nadbudówki" ideologiczne, próby uskrzydlania młodzieży, — rozbijają się w ostatecznym wyniku o tę prostą prawdę, że zetknięcie z praktycznem życiem zabija w obywatelu honor i napełnia go stopniowo poczuciem takiego poniżenia, że już tylko karjerowiczostwo lub elementarna potrzeba życia utrzymują go w aktywności lub przynajmniej w ryzach dyscypliny. I znów nie ludzi winić tu trzeba, a system."

Smutne, przesmutne refleksje... (sc).

„Oszczędzaj na czarną godzinę"

Dola czy niedola urzędników niższych kategoryj, zaszeregowań, szczebli, grup płacy, czy jak to tam nazywa biegła w terminologji biurokracja, zmierza krokiem forsownym, z wyciągniętemi kopytami do dziejowej godziny, którą mianowano „czarna". Aby więc uprzytomnić tej mało „płatnej" i świeżo zarżniętej masie, że to już czas kłaść się na katafalk (nagły lecz spodziewany) ręką z „góry" wymalowano wielkie zegary z zamazanemi na czarno cyferblatami. Widać na nich kilka jasnych godzin (brakło ciemnej farby), a reszta życia ludzkiego tak czarna i ponura, że tylko się wieszać, żyć nie warto! A pod tym żałobnym zegarem umysł z pod ciemnej przyszłości wykombinował napis o symbolicznej i smutnej treści: „Oszczędzaj na czarną godzinę". (oszczędzaj szybko — dodałbym). Coś nazbyt ponuro jak na „radosną twórczość". Czy już niczego nie można obiecać ludziom, jak tylko to, by grosze ciułali na sosnowe cztery deski?

Wracając do oszczędności, to sine ira stwierdzić trzeba, że cnota ta jest u nas nagminna — i to zapewne dzięki świetnej i pomysłowej propagandzie (!) Polityka budżetowa też ma swoje zdanie o oszczędności, specjalnie o cudzej.

„Czarna godzina" — po szarem życiu i gdy się zaoszczędziło na pogrzeb i na jakie takie papierowe obuwie, też jest swego rodzaju happy end'em. Napewno teraz każdy będzie walił „va banque" — zapożyczy się, a zaniesie — (k.) k. o. jest pewne, wyliczają dobrze — śmierć jest też pewna, należy więc oszczędzać, żeby tylko było z czego!

Taka już jest natura człowieka, że spodziewa się z dnia na dzień jakiejś poprawy, naprawy, rozjaśnień. Słowem polepszenia konjunktury; pracuje w tym duchu i ma nadzieję, że się czegoś dochrapie. Ostatnio naturę tę wypacza się systematycznie, ludzi kontemplujących w deseń optymistyczny jest maluczko, powiedziałbym, niema ich wcale.

Jeszcze przed „poborem posłów" była grupka znajomych, maiacych swe zatrudnienie w sterowaniu nawą, która jeszcze jakieś takieś pomyślne horoskopy wróżyła z ręki podatnika. Okazało się, że to były czary, na magach poznano się dostatecznie. Przyszli do nawy, do wielkiego ołtarza ludzie trzeźwi, sam „kwiat", głowaccy i zaraz zrodziła się mądra dewiza rozsadna i przewidująca — „oszczędzaj na czarną godzinę". Na godzinę, kiedy każdy pensjonarjusz zamiast poborów otrzyma na pierwszego jakąś mądrą biografję, laurkę, blaszkę lub kawałek kolorowej wstążki (vidi Kongo). Wszyscy będą zasłużeni, odznaczeni i trupio bladzi. Rzadko kadzidło pomaga umierającym, ale gala i fason muszą być.

— — — — — — — — — —

Oszczędzajcie na jasną godzinę Wielkiej Polski!

J. Tom.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

„Halka" — „Straszny Dwór".

Kiedy w 1872 r. radzono Maniuszce, żeby się upomniał o wznowienie na warszawskiej scenie „Strasznego dworu", który mimo świetnego powodzenia leżał w zapomnieniu na półce, — tenże odpowiedział:

— I mnie się zdaje, że gdybym się postarał, toby zezwolono go wznowić. Ale nie warto zachodu. Niech się zachowa na oeuvre posthume, wtedy głośniej klaskać będą.

A po chwili dodał:

— I niezbyt długo czekać na to będzie.

Było to przeszło 60 lat temu... Obecnie, zarówno „Halka", jak i „Straszny dwór", — te 2 najpiękniejsze arcydzieła moniuszkowskie, doczekały się tego, że zajmują najbardziej godne miejsca żelaznych repertuarów scen polskich, a nawet są grywane w operach zagranicznych, zyskując coraz większy rozgłos i niekłamane uznanie.

Dyrekcja opery poznańskiej ze szczególnym pietyzmem i starannością przystąpiła w tym sezonie do odświeżenia swego repertuaru, kładąc jednak duży nacisk na twórczość polską. Ma to znaczenie o tyle dodatnie; że — niestety — całe jeszcze masy szerokich warstw społecznych nie uświadamiają sobie należycie, jak wielką i cenną spuściznę zostawiają nam wielcy nasi pieśniarze - poeci, jak np. Moniuszko, czy Różycki, lub też inni twórcy polskiej muzycznej literatury.

Przechodząc do strony czysto odtwórczej nieśmiertelnej moniuszkowskiej epopei narodowej, należy gorąco podziękować zarówno p. Barańskiemu, jak i artystom - solistom za dobre naogół wykonanie „Halki". Orkiestra — bez zarzutu, choć tempo czasami za szybkie (mazur), a dynamika nie zawsze udatna. P. Tomkiewiczówna — to cenny nabytek, który zasługuje na uznanie, o ile chodzi o rejestr głosowy górny i grę aktorską. Powiedziałbym tylko, że w arji „Gdyby rannem słonkiem" było niepotrzebne staccato, — zresztą wszystko bez większych usterek.

Pan Gołębiowski — świetny Jontek, bisował „Szumią jodły", wzruszając do łez i starych i młodych. Głos czysty, pełny, nadający się do wszystkich partyj lirycznych. Resztę obsady piastowali godnie: Majchrzakówna, Karpacki, Urbanowicz i Cirin. Balet — udatny w „Tańcach góralskich", — mniej udatny w „Mazurze" (tempo za szybkie). Strona dekoracyjna — bez zarzutu, a pięknie uwydatniona w akcie III-cim.

Wystawienie „Strasznego dworu" było pierwszorzędne. Wspaniała obsada sprawiła nieoczekiwane wrażenie, spotęgowane pięknem lirycznych melodyj oraz nastrojowemi scenami.

Hanią była p. Dudiczówna, Jadwigą — dr. Roessler - Stokowska. Stefana i Zbigniewa kreowali: Gołębiowski i Wraga. Podkreślić należy, że p. Gołębiowski śpiewał „arję z kurantami" miękko i tkliwie, uwypuklając swoje walory głosowe i aktorskie. Pysznym Miecznikiem był p. Dolnicki, Damazym — Gruszczyński, a Cześnikową — p. Janowska - Kopczyńska. P. Urbanowicz był niezrównanym Skołubą i dobrym reżyserem. Całością dyrygował wytrawnie dyr. Latoszewski. Balet piękny.

Wśród książek

MIECZYSŁAW SMOLARSKI: „Hanna Krzemieniecka - Dzieje myśli i twórczości". Warszawa 1935, str. 114, 8⁰.

Hanna Krzemieniecka, powieściopisarka i filozofka, stanowi w literaturze naszej postać niecodzienną. Z pochodzenia Ukrainka, wnuczka Bohdana Zaleskiego, odziedziczyła po rodzicach pełnię indywidualizmu i charakteru duszy kresowej, w której dodatnio odbiła się kultura zachodu. Znamienne, iż mimo wielkości własnego talentu nie potrafiła wyzbyć się tego przesadnego dziedzictwa wpływów ziemi ukraińskiej. Może nie dostrzegała jego zgubnych konsekwencyj. Wszak stało się ono przyczyną nadużywania efektów malarskich, motywów artystycznych, nieumiejętności rozróżnienia rzeczy ważnych, wątków wartościowych od mniej lub bezwartościowych. Widać to w każdej jej powieści, czy weźmiemy tę pierwszą „Przed wyrokiem", czy tę najlepszą „Lecą wichry". Pierwszą zadebiutowała na łamach „Prawdy" Świętochowskiego, drugą zdobyła najlepszą nagrodę w jubileuszowym konkursie „Kurjera Warszawskiego". Zyskała więc uznanie czytelników i krytyki.

Niewątpliwie trzeba mieć do niej, jako artystki, duże uznanie. Takiem pała ku niej Mieczysław Smolarski, który w osobnej książce zastanawia się nad dziejami jej myśli i twórczości. Jednak monografja jego posiada raczej charakter propagandowy, raczej wskazuje i przypomina szerokim warstwom postać Hanny Krzemienieckiej, niż ją ocenia i zestawia ze współczesnymi jej poetami i powieściopisarzami. Tem tylko możnaby wytłumaczyć ujęcie monografji, w której nieudolność krytyka graniczy z lenistwem pisarza. Smolarski jako metodę rozbioru dzieł Krzemienieckiej przyjął streszczenie. Pewno uważał, iż samo streszczenie wraz z dodaniem kilku uwag ogólnych, kilku cech, charakteryzujących jej twórczość, wraz z paroma faktami z jej życia, wystarczy do wydania osobnej monografji. Lecz mocno się na tem zawiódl, nawet, jako pisarz, gdyż streszczenia wykazują ubogość talentu, niesolidność w opracowaniu. To też książka Smolarskiego, — owoc suchej dziennikarszczyzny, a nie rzetelnego trudu krytyka, stanowi w opracowaniach twórczości Hanny Krzemienieckiej pozycję wyłącznie propagandową, nie posuwającą wiedzy o niej ani krok naprzód.

P. SMUL - CZESŁAWSKI, Poznań.

STEFANIA LAND: „Mickiewiczowska legenda o Byronie". Poznań 1935, 8⁰, str. 55. Prace Polonistyczne Seminarjum Historji Literatury Polskiej Uniwersytetu Poznańskiego, nr. 7.

Prace polonistyczne, wydawane przez Seminarjum Historji Literatury Polskiej Uniw. Pozn., zdobyły już w literaturze naukowej poważne miejsce. W niektórych z nich podejmują młodzi adepci nauki problem po raz pierwszy, w innych znowu opracowują zagadnienia, wskazane przez syntetyków do analitycznego, zarazem monograficznego — studjum. Do rodzaju ostatnich należy Stefanji Land „Mickiewiczowska legenda o Byronie", wyszła z seminarjum prof. R. Pollaka w r. 1935. Kwestja, podjęta przez p. Land, należy do zakresu badań literacko - porównawczych, a więc dziedziny niezwykle trudnej. Szczególnie obecnie, kiedy w nauce o literaturze dokonuje się przewrót w poglądach na kwestję wzajemnych wpływów. I przyznać trzeba, że p. Land z trudności wybrnęła doskonale.

Sprawą byronizmu u wielkiego naszego wieszcza zajmowali się już Tretiak, Spasowicz, Zdziechowski. Sądy ich wypadły różnie, zależnie zresztą od przyjętego punktu widzenia. P. Land całkiem słusznie zacieśnia problem „do rozpatrzenia stosunku Mickiewicza do legendy o Byronie". „Przez legendę — pisze — rozumiem przekształcanie osobistości historycznej, jej życia i czynów, pod kątem przystosowywania jej do koncepcji, którą sobie współcześni na tle nastroju epoki o niej wytwarzają." (str. 7). Tego rodzaju legendy o Byronie istniały, gdy Mickiewicz zapoznawał się z poezja Byrona. Autorka bada więc proces ustosunkowania się Mickiewicza do nich i sposób rozsnuwania poddanych przez Byrona wątków. Opiera się przedewszystkiem na sądach samego poety, zachowanych we wspomnieniach rozmów, listach i utworach estetyczno - krytycznych. Rzadziej sięga do utworów poetycznych Mickiewicza.

Po omówieniu legendy o Byronie wogóle, rozpatruje stosunek Mickiewicza do tejże legendy przed i po r. 1832. Ewolucja stosunku przedstawiona ciekawie. P. Land dochodzi do wniosku, że najpierw Mickiewicz dążył do rehabilitowania Byrona, pojąwszy go jako nadczłowieka, jako drugiego Napoleona, a dopiero wraz ze wzrostem nastrojów mistycznych Byron staje się dla Mickiewicza „silną indywidualnością, obdarzoną misją, mającą na celu dobro ludzkości." (str. 46). Czyli: Mickiewicz w drugiej fazie związków duchowych z poezją Byrona kształtuje jego ideologie na własny sposób, tworząc nową legendę o wielkim poecie angielskim. Jest to proces, jak widzimy zupełnie naturalny.

Tak autorka w sposób niezwykle ostrożny, naukowy ukazuje poszczególne fazy wpływów legendy o Byronie na Mickiewicza. Dzięki temu wartość wpływów, jak i ich ostrość i rodzaj ocenione zostały objektywnie.

P. SMUL - CZESŁAWSKI, Poznań.

OD ADMINISTRACJI.

Prenumeratę za pismo prosimy przesyłać za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych, które są do nabycia na każdej poczcie. Ten sposób przekazywania jest bezpłatny.

„Głos" zamawiać można we wszystkich urzędach i agencjach pocztowych.

Na żądanie wysyłamy egzemplarze okazowe.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zl, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław Maciąg, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.